

Marolambo, dnia 29 października 1981 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Nareszcie jestem w swoim domu i korzystam z trzeciego adresu na Madagaskarze. Wszystkie moje rzeczy znajdowały się w samochodzie, którym tu przyjechałem. Już rozłożyłem je w pokoju. Jednakże do tej pory trudno mi było zabrać się do napisania tego listu. Dlaczego? Zrozumiecie czytając ten list.

Zaczynam od wielkiego święta w Mahanoro, czyli malgaskiego odpustu. Przez dwa dni było bardzo hałaśliwie na misji i z tego powodu także w całym mieście. Przygotowania trwały długo. Święto jest przygotowywane przez misjonarzy, którzy zakupują skrzynki różnych napojów i ustawiają stragany. Do tego trzeba zorganizować oświetlenie, a także wcześniej uruchomić zamrażarkę dla przechowania większej ilości mięsa. Przez wiele godzin dziwiłem się, dlaczego przy moim pokoju hałasuje generator prądu, zanim zrozumiałem, że dodatkowa lodówka nie może ziębić na naftę, jak inna, pracująca u nas przez cały czas. W sobotę po południu już wszystko się rozpoczęło. Funkcjonowała także kuchnia, w której i my kupowaliśmy posiłki, oczywiście malgaskie i oczywiście bardzo tanie dla nas, otrzymujących pieniądze z Europy. Młodszy i starsi chodzili koło bud i straganów kuszących los na różnych loteriach. Głównej nagrody nikt nie wygrał. Było dużo gier zręcznościowych, a przede wszystkim bardzo głośna muzyka: płyta na życzenie i rzeczywiście wiele osób prosiło o zadedykowanie jakiejś piosenki swoim przyjaciołom. I nie niedzielna Msza Święta (bo nie wszyscy się modlili w kościele), ale niedzielny obiad był punktem centralnym kiermaszu. Ponad setka osób zasiadło (czyli zapłaciło) przy stołach rozstawionych na werandzie otaczającej dom misyjny. Mnie posadzono przy stole znających język francuski, dzięki czemu miałem okazję poznać Ambasadora Madagaskaru w Federalnej Republice Niemiec.

Odpoczywaliśmy po kiermaszu w poniedziałek. We wtorek rano, w dniu poświęconym Świętym Archaniołom, czyli 29 września, przejechaliśmy 130 km przez 11 godzin. To zniechęca do podróży, ale też wzbudza szacunek dla samochodu, którym zawsze będzie można dowieźć rzeczy potrzebne nawet w porze wielkich deszczów (luty). Nasza misja powinna się oddać w opiekę Świętych Archaniołów, skoro tego dnia do niej przyjechaliśmy. Od tego dnia jesteśmy w komplecie, cała trójka mająca przejąć odpowiedzialność za tę misję, chociaż na razie mieszkają z nami Francuzi. Przez pięć dni byliśmy razem całą piątką Polaków. Obchodziliśmy imieniny Ojca Franciszka, ale także trzydziestolecie pobytu na Madagaskarze jednego z francuskich Montfortenów. Jest to najlepszy dowód, że można tu żyć, pracować i być szczęśliwym.

Kiedy już odjechali odpowiedzialni za misję w Ambinanindrano Ojcowie Franciszek i Roman, ja też wyruszyłem do północnej części swego sektoru, towarzysząc francuskiemu Montfortenowi, odpowiedzialnemu jeszcze za ten sektor. W październiku zaczynają się „duże deszcze”, połączone zawsze z burzami, ale pada tylko po południu albo w nocy i nie codziennie. Wziąłem w rękę płaszcz jednorazowego użytku, jednakże była to zbędna obawa. Misjonarze przechodzą od jednej wioski do drugiej przed południem i dlatego o tej porze roku nie ma powodu obawiać się przemoknięcia. Nie ma też problemu z bagażem, gdyż katolicy w poszczególnych wioskach są zobowiązani do odniesienia wyplatanego z trawy kosza z rzeczami misjonarza. Odwiedziliśmy sześć wiosek, zatrzymując się dłużej w wiosce, w której buduje się kościół i ta budowa ciągnie się od wielu lat. Budują, gdy misjonarz jest w wiosce, a gdy nie ma, modlą się gorliwie pod zadaszeniem i wcale im nie przeszkadza to, że ściany są ze starych blach. Na uwagę zasługuje dzwon zrobiony z koła samochodowego, oczywiście wystarcza sam bęben hamulcowy uderzany kawałkiem długiego metalu. A kiedy misjonarz przyglądał się budowie, ja poszedłem do następnej, najdalszej, wioski, idąc 9 kilometrów przez półtorej godziny. Droga łatwa, chociaż jedno zejście po glinie sprawia problemy i jedynie trawa rosnąca obok ścieżki pozwala na przytrzymanie się. Potem trzeba umyć ręce przechodząc przez rzeczka u podnóża tej góry czy pagórka, bo nie wiem, jak należy nazwać to, co jest niezbyt wysokie, ale bardzo strome.

Niespodziankę przeżyłem w drodze powrotnej. Prawo gościnności nakazuje zaprosić do domu podróżnego i wskazano mi dom, w którym mnie powitano (gdyż nie ma powitania poza domem, na drodze jest tylko zwykłe pozdrowienie). Oczywiście przy powitaniu powinienem siedzieć (co na to Polacy?!) i przez 10 minut wypełniłem wszystkie formalności powitania, wypijając dwie kawy przyniesione mi przez mieszkańców. Tu są protestanci, ale chyba nie ma katolików. Z tej wioski powróciłem do czekającego na mnie misjonarza i spędziliśmy tu jeszcze jeden dzień przy budowie kościoła. List z programem nie dotarł do następnej wioski, a że tam mieszka tylko jedna rodzina, więc nie byłoby u kogo się zatrzymać. Prawdę pisząc, w tej wiosce nie ma wspólnoty katolickiej, ale mieszkają krewni budujących kościoł. Dzięki nim mamy gdzie się zatrzymać i nie trzeba iść 35 km jednego dnia. Jednakże i tak stwierdzam, że droga do nich z najodleglejszej wioski w przyszłym „moim” sektorze jest niesamowicie trudna. Na pewnym odcinku trzeba „podpierać się nosem” - to malgaskie wyrażenie dobrze oddaje stromiznę podejścia.

Pilnie obserwowałem drogę, którą przed 12 laty jeżdżono samochodami. Mniej jest ryżowisk, dlatego przejście i przejazd byłby łatwiejszy, niż z Mahanoro do Marolambo. Niestety, brakuje mostów. Aby przejechać samochodem do centrum odległego o 25 km od Marolambo do Andonabe („silne uderzenie”), należałoby zbudować dwa mosty. Ale problem jest znacznie większy. W Marolambo na rzece Nosivolo przed rokiem zatonął prom i nie ma komu wydostać go z wody, chociażby silnika. Pomimo najszczęśliwszych chęci nie możemy zobowiązywać się do przywrócenia ruchu na tej drodze. Inne spostrzeżenie: w wielu wioskach żyją katolicy, ale się nie modlą. Przyczyną jest pośpiech przy udzielaniu Chrztu Świętego po powstaniu Małgaszy przeciwko kolonizatorom Francuzom w 1947 roku. Po stłumieniu powstania Francuzi chcieli zjednoczyć naród poprzez wspólną modlitwę i dlatego zwalniali z prac społecznych jako funkcjonariuszy czyli urzędników także szefa, tragarza i katechetę we wspólnocie religijnej. Ludziom zależało na otrzymaniu Chrztu Świętego i założeniu wspólnoty, aby te trzy osoby nie musiały społecznie pracować. W większych wioskach mieszkańcy nawet podzielili się na dwie albo trzy grupy tworząc wspólnotę katolicką, protestancką i anglikańską, więc w większych wioskach nawet dziewięć osób korzystało ze zwolnienia z prac społecznych. Jaki stąd pożytek dla religii? Niewielki, skoro nie było wewnętrznego nawrócenia. Jakie skutki społeczne? Ten sam ciężar rozłożony na mniejszą ilość osób, więc jest naruszona sprawiedliwość społeczna. A potem przyszła wolność i już nie trzeba było społecznie pracować. Zaprzestawano się też modlić i stąd liczba wiosek „do odwiedzania” nie przekracza sześćdziesięciu, zaś w roczniku Kościoła Oceanu Indyjskiego przepisywana z roku na rok od dwóch dziesiątków lat podaje liczbę 165. Statystykom podam, że naszej pieczy duszpasterskiej podlega teren 3.500 km² (to zapewne niejedna diecezja w Polsce jest mniejsza), na którym mieszka nieco ponad siedemdziesiąt tysięcy ludzi, w tym 2.200 katolików.

Konsekwencją braku dróg dla samochodów jest nieopłacalność sprzedaży kawy, skoro trzeba ją wynieść ze swojej wioski na plecach do punktu skupu, a droga ma 50 i więcej kilometrów.

Na razie siedzę w domu i przygotowuję kazania, które będę czytał podczas dwóch obchodów misyjnych przed Bożym Narodzeniem. W końcu listopada idę do części południowej mojego sektoru, gdzie jeszcze przed rokiem można było pojechać motorem. Na same święta udam się do sektoru, który już poznałem i zatrzymam się w dwóch wioskach „pominiętych”, chociaż przechodziłem przez te wioski i nawet widziałem kościoły. Powrócę inną drogą, aby odwiedzić jeszcze dwie wioski i wtedy będę mógł powiedzieć, że znam cały sektor przeznaczony dla mnie.

Ludzie są tu bardzo życzliwi i nieraz chcą uczynić więcej, niż powinni. Taką przygodę miałem z moim dowodem osobistym. Tutaj każdy obcokrajowiec przyjeżdżający na dłuższy pobyt, czyli nie będący turystą, powinien taki dowód posiadać i wymieniać co dziesięć lat. W moim dowodzie napisano, że mieszkam w Mahanoro, więc przed wyjazdem wymeldowałem się i po przyjeździe do Marolambo zgłosiłem się do biura meldunkowego. Nie było osoby odpowiedzialnej, ale urzędujący za wszelką cenę chciał załatwić moją sprawę, więc kazał przyjść po południu. Jeszcze nie było jego szefa, mimo tego zabrał się do pracy. W dowodzie przystawił trzy różne pieczęcie koło mojego zdjęcia, a samo zdjęcie przymocował specjalnymi nitami, co samo w sobie nie jest złe, tylko że ja już miałem zdjęcie przyklejone i odpowiednio podstemplowane w biurze prowincji w Tamatawie. Oczywiście oddał mi dowód zaznaczając, że

„brakuje już tylko podpisu, ale poza tym wszystko jest w porządku”. I chyba nie muszę dodawać, że urzędujący był kompletnie pijany. Ja zaś postanowiłem nie zachodzić do biura po południu. Za dziewięć lat dostanę nową „kartę osobistą dla obcokrajowca”.

Mam trochę problemów ze szczurami. Dom drewniany, więc i dużo zakamarków niedostępnych dla kota. Gorzej, że szczury dobierają się do dokumentów i wszystkiego trzeba pilnować. Jednemu z moich współmieszkańców szczurzyca zrobiła gniazdo w szufladzie jego biurka, niszcząc sporo papierów. Na szczęście szybko zauważył, ale niektórych dokumentów nie udało się uratować w całości i teraz świadczą o szczurzym działaniu. W Mahanoro mieszkałem w domu z cementu i wtedy gryzonie wchodziły rzadziej, ale jak się uchronić w środowisku, które jest lubiane przez nich? Mamy trzy koty i psa, ale też pies jest pogryziony przez dzikiego kota (zwanego „lisem”), który grasuje na naszym misyjnym wzgórzu. Kurki spokojnie chodzą po okolicy, rzadko która ginie, a nieraz przyprowadzają kurczaki. Tutaj nie potrzeba przygotowywać gniazd, kura sama to robi i tym daje dowód, że jest mądrzejsza od kury polskiej. Co ciekawsze, ludzie wiedzą, która kura dla kogo pracuje.

Planujemy już nowe „budowle”. Nie mamy garażu dla naszego samochodu, który wkrótce dostaniemy. Rozlatują się „domy” dla królików. Kuchnia nieraz dymi... Ale są to problemy znane z polskich parafii i tutaj nic nie stoi na przeszkodzie, aby powoli budować. Jednakże jest jeszcze za wcześnie, abyśmy się tego podejmowali, gdyż „prawnie” uczymy się prowadzenia misji i odpowiedzialność nadal spoczywa na ojcach francuskich. To wcale nie przeszkadza rozmawiać z nimi o tych potrzebach i podejmujemy decyzję, albo proponujemy „inwestycje” pomagając w ich realizacji. Kto będzie budowniczym, jest już mniej ważne, gdyż Francuscy Ojcowie też wiedzą, że z urlopu nie powrócą do Marolambo. Zostaną mianowani misjonarzami na innych placówkach.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Teoretycznie już od dawna znam zasadę postępowania, że „należy polubić tego, którego nie można pokonać”. Jeszcze lepiej byłoby z takim współpracować. Poradźcie mi, Drodzy a Młodzi Czytelnicy, jak mam dostosować tę zasadę współmieszkając z licznymi w naszym domu czworonożnymi stworzeniami zwanymi szczurami? Koty nie zawsze stają po naszej stronie: one naprawdę „lubią” te gryzonie.

* * * * *